



Odys u Syren – opowiadanie

Ze snu jak zwykle wyrywa mnie dotyk nieprzyjemnie szorstkich piór mojej siostry Ligei. Nieprzytomnie unoszę powieki; widzę, że coś do mnie mówi, ale moje uszy niezdolne są jeszcze do wychwycenia poszczególnych dźwięków, wciąż bronią się przed powrotem na jawę. Mija kilka chwil, po których stwierdzam, że chyba powoli wynurzam się na powierzchnię pełnej świadomości. Ligea każe mi czym prędzej wstawać i biec z nią na brzeg naszej wysepki; mówi, że na horyzoncie widziała statek płynący w naszym kierunku. Początkowo jej nie wierzę; już od wielu dni nikt nie zawitał w nasze strony; powoli traciłam nadzieję, że jeszcze kiedyś zobaczę tu jakichś ludzi. W końcu jednak daję się przekonać i, już w pełni rozbudzona, wyskakuję z mojego posłania.

Biegniemy. Pędzimy w kierunku wody, potykając się na ścieżce i nie mogąc powstrzymać głośnego śmiechu radości. Tak dawno nikt do nas nie dotarł... Dobiegamy na brzeg, siadamy na piasku i niecierpliwie wpatrujemy się w malutki punkcik kołyszący się na

morzu. Jest jeszcze daleko, ale to bez wątpienia statek. Minie jeszcze wiele godzin, nim zawita do naszej wyspy, jednak wiem, że przez cały ten czas będziemy niemal bez ruchu siedzieć, nie spuszczać oczu z łodzi.

Korzystając z tej chwili, mogę powiedzieć coś więcej o samej sobie. Na imię mi Partenope i jestem Syreną. Mam głowę i tułów kobiety oraz nogi ptaka. Dano mi też skrzydła – z nich jestem najbardziej dumna. Połączenie to z założenia miało chyba być odrażające, ja jednak się do niego przyzwyczaiłam. Żyję na tej wyspie razem z moją ukochaną siostrą, nie wiemy jednak, skąd się na niej wzięłyśmy – po prostu jesteśmy tu, odkąd pamiętamy. Wydaje mi się, że musiałyśmy czymś niezwykle mocno urazić bogów zamieszkujących święty Olimp; tłumaczyłoby to chimeryczny wygląd i swoiste zesłanie. Jednak nie to jest najgorsze, bowiem bogowie rzucili na nas straszną klątwę. Zgodnie z nią posilić może nas tylko ludzkie mięso; nie jesteśmy w stanie przyjąć żadnego innego pokarmu.



Rzeźba nagrobna przedstawiająca Syrenę, 370 r. p.n.e., Narodowe Muzeum Archeologiczne w Atenach (zdj. Justyna Dolecka)

Chcąc przeżyć, musimy zabijać mijających nasz brzeg żeglarzy. Nienawidzę tego robić, nie rozumiem, jakim prawem mam odbierać życie niewinnym ludziom. Jednak za każdym razem moja własna wola przetrwania okazuje się być silniejsza od wszelkiego wstrętu do moich haniebnych czynów; morduję każdego, kogo tylko przywiodą tu fale. Potem spędzam dni na zasłanym kośćmi brzegu; nigdy ich nie sprzątam, chcę, by przypominały mi o mojej potwornej naturze – jeśli rzucona na mnie klątwa ma być jakimś rodzajem pokuty, to chcę ją w jak najlepszy sposób odbyć.

Ligea krzyczy, że statek już jest blisko, mówi, bym zaczęła się szykować. Z ciężkim westchnieniem wstaję, prostuję całe ciało, chcę zaprezentować się żeglarzom w całej mojej okazałości. Przygotowuję się do Zwabiania – procesu kuszenia ludzi syrenim śpiewem, przyciągania ich na wyspę. Sama pieśń wprowadza słuchaczy w rodzaj transu; zaczynają oni bezmyślnie płynąć w stronę naszego brzegu, porzucając wszelką logikę i zasłyszane przestrogi przed naszym zgubnym wpływem.

Łódź jest już na tyle blisko, że siostra daje mi sygnał do rozpoczęcia śpiewu.

Otwieram usta. Zaczynamy od wychwalenia żeglarzy, intonujemy pochwały dla ich odwagi i bohaterstwa; nic tak bowiem nie łechce męskiego ego jak podziw i uznanie. Jednak nagle dociera do mnie, że coś jest nie tak. Załoga nawet na nas nie spogląda – każdy zajęty jest swoją pracą na pokładzie, zawzięcie wiosłując w pierwotnym kierunku, troskliwie zajmując się ustawieniem żagli; żaden z ludzi nie zwraca na nas najmniejszej uwagi. Jakby nas nie słyszeli. Nagle dostrzegam pośród nich jednego mężczyznę przywiązanego do głównego masztu. Prawdopodobnie pełni rolę kapitana – wyróżnia się na tle innych jakimś wewnętrznym majestatem, bije od niego poczucie wyższości i pycha. On jeden patrzy prosto na nas, przeszywa nas intensywnym spojrzeniem jasnych oczu. Czuję, że to w nim cała nasza nadzieja, skoro reszta ludzi na statku nas nie słyszy, to za wszelką cenę musimy zwać właśnie jego – inaczej będziemy zgubione.

Zaczynamy więc jeszcze raz, ze zdwojoną siłą. Najpierw Ligea rzewnie rozwdzi się nad jego doskonałością i wyrażną siłą, opiewa jego, z całą pewnością, heroiczne czyny. Śpiewa o jego wzniosłości i męstwie, wmawia wyższość nad resztą ludzkości. Widzę, że mężczyzna chce słuchać dalej, wyciąga głowę w naszą stronę, nie chce uronić ani słowa z pieśni mojej siostry. Dzieje się jednak rzecz niespodziewana – do przywiązanego do masztu kapitana zbliża się jeden z jego towarzyszy i mocniej zaciska sznury. Wiem, że teraz moja kolej na skuszenie go; muszę go przekonać,

by wydał odpowiedni rozkaz swoim ludziom, kazał im skrócić w kierunku wyspy. Cięży na mnie ogromna presja, jednak działa ona pobudzająco. Wydobywam z siebie najpiękniejszy głos, na jaki tylko mnie stać i zaczynam pieśń. Śpiewam o wszystkich niebezpieczeństwach, czyhających na niego podczas dalszej żeglugi. Plastycznie opisuję śmierć z rąk potworów i okropności, o jakich nawet mu się nie śniło. Z rąk istot niemal dorównujących swoją siłą bogom. Jak taka śmierć wpłynęłaby na jego chwałę? On, wielki wojownik, prawie mityczny heros, pokonany jeszcze zanim zdołałby dobyć miecza – tak się przecież nie godzi. Błagam go, żeby nie płynął dalej, tylko kazał zwrócić ster w stronę naszego brzegu. Przekonuję, że otrzyma tu od nas bezcenny dar; on i wszyscy jego kompani. Obiecuję coś stokroć wspanialszego niż wszystkie ziemskie dobra, takie jak bogactwa, trony, urzędy czy dostojne szaty. Oferuję mu dobrowolną, godną śmierć w stanie najwyższej chwały, przekonuję, że teraz może odejść niepokonany, że jego duch uda się prosto na Pola Elizejskie, by tam po wsze czasy zaznawać najwyższych z możliwych przyjemności. Może odejść dumny, niesponiewierany przez czekające go dalej szkaradztwa.

Widzę, że osiągam swój cel. Mężczyzna szarpie się, z całych sił chce zerwać krępujące go więzy. Niemal mu się udaje, jednak jego towarzysze na powrót go unieruchamiają. Przytrzymuje go pięciu rośłych żeglarzy, każdy napina mięśnie do granic możliwości. Krzyczy do nich,

każe zmienić kurs na naszą wyspę, rozkazuje skręt steru. Z jego oczu płyną łzy bezsilności. Załoga jest jednak jak głucha, jego słowa nie znajdują żadnego odzwierciedlenia w czynach marynarzy. Nie wiem, co się dzieje. Śpiewam coraz głośniej, coraz bardziej rozpaczliwie, mężczyzna coraz donośniej krzyczy na swoich kompanów, statek jednak wciąż płynie swoim dawnym kursem, nic nie wskazuje na to, by miał dobić do naszego brzegu.

Jestem zrozpaczona. Budzi się we mnie okropny głód, mogę myśleć tylko o tym, od jak długiego czasu nie miałam nic w ustach. Czuję, że od tej jednej łodzi zależeć będzie moje i Ligei życie – jeśli bowiem nie zwabimy tych żeglarzy do siebie, najpewniej umrzemy tu śmiercią głodową. A ja tak bardzo chcę żyć... Patrzymy z siostrą po sobie i jednocześnie zaczynamy rozpaczliwy lament, błagamy przywiązanego mężczyznę, by raczył do nas dołączyć na naszej wysepce. Nagle krzyczę, że tylko on może nas uratować od nieuniknionej śmierci. On jednak już odpływa, staje się coraz mniejszy, jego statek powoli oddala się od brzegu.

Nie mogę w to uwierzyć. Jeszcze nigdy nie poniosłyśmy z siostrą klęski; jak dotąd żaden żeglarz nie oparł się naszym pieśniom, naszym głosom. Z mojej piersi wyrывa się gwałtowny szloch, gdy prawda uderza we mnie z całą swoją brutalnością: umrę. Umrę z głodu, wyczerpana i skrajnie wycieńczona, obok mojej równie wyniszczonej, ukochanej siostry.

Czuję, jak otacza mnie jej ramię. W przeciwieństwie do mnie nie traci

nadziei; wierzy, że łada dzień ujrzymy na horyzoncie kolejny statek, a za jakiś czas dzisiejsza łódź stanie się tylko niewiarygodnym wspomnieniem. Pozwalam się jej podnieść na duchu; nie chcę jeszcze żegnać się z życiem.



Upływające dni przechodzą w tygodnie, a my pogrążamy się w niemej rozpacz. Nie widziałyśmy już żadnych nowych żeglarzy, wyzbyłyśmy się resztek optymistycznej nadziei. Chudniemy i z każdą chwilą mamy coraz mniej siły na najzwyczajniejsze funkcjonowanie. Patrząc na siostrę i myślę, że nie chcę dla nas takiej śmierci. Powolnej, w głodowych męczarniach. Ligea podnosi na mnie wzrok i wiem, że myśli to samo – po tylu latach spędzonych we dwójkę potrafimy porozumiewać się niemal bez słów. Wstajemy, wychodzimy z naszego domu i po raz ostatni, wolnym krokiem idziemy ścieżką w kierunku morza. Nie odzywamy się do siebie, czerpiemy siłę z subtelnej styczności naszych ramion. Podchodzimy do brzegu w miejscu, gdzie formuje się on w najwyższy na naszej wysepce klif. Patrzymy sobie w oczy, po czym jednocześnie rzucamy się w morskie odmęty. Nic już nie widzę, woda wdiera mi się w płuca, zalewa uszy, skleja pióra. Przez ułamek sekundy ogarnia mnie palący ból. A potem nie czuję już nic...

Nie mogę wiedzieć, że daleko, daleko stąd ten pamiętny mężczyzna każdego dnia budzi się z żalem, że jego



Krater kolumnowy przedstawiający dwie Syreny i łabędzia, 575-550 r. p.n.e.,
Narodowe Muzeum Archeologiczne w Atenach (zdj. Justyna Dolecka)

towarzysze nie obrali jednak kursu na Wyspę Syren. Owszem, cieszy się, że żyje i może chwalić się szeregiem przygód, które go spotkały, a z których zawsze wychodził obronną ręką, nie może jednak pozbyć się wrażenia, że Syreny nie były aż tak potworne, jak to się utarło w przekazywanych z ust do ust opowieściach. Skoro na koniec błagały go o ratunek, może faktycznie były

w niebezpieczeństwie? Może on, niezwykły król Itaki, mógł im pomóc i tym samym jeszcze bardziej powiększyć listę swych zasług? Nigdy jednak się tego nie dowie. Wiele lat później zapragnie ponownie odnaleźć Wyspę Syren, ale już nigdy mu się to nie uda. Okazja do wysłuchania syreniego śpiewu zdarza się bowiem tylko raz w życiu. I od tej zasady nie ma już żadnych wyjątków...